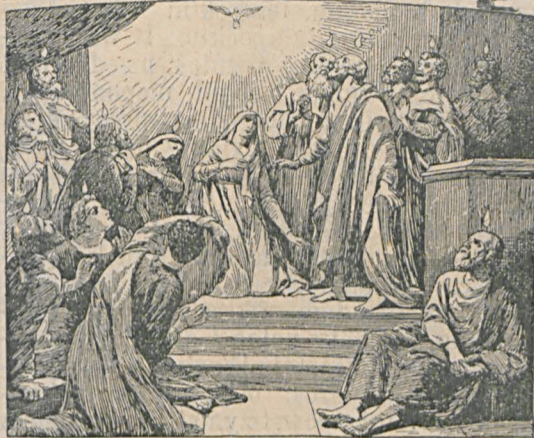


GAZETA ŚWIĄTECZNA

Dnia 26 Maja 1912 roku.



Wychodzi w WARSZAWIE na każdą NIEDZIELE

Cena Gazety Świątecznej:

bez przesyłania:		z przesyłaniem:	
Na cały rok	2 ruble	Na cały rok	3 ruble
" pół roku	1 rubel	" pół roku	1 r. i 50 k.
" ćwierć roku	pół rubla	" ćwierć roku	75 k.

Gazeta pojedynczo kosztuje 5 k., z przesyłką 7 k.

Przedpłatę na Gazetę Świąteczną wysyłać należy do Tadeusza Prószyńskiego w Warszawie, ulica Świętokrzyska, liczba 2, róg Nowego-Swiata. Tamże mieści się Redakcja i Wysyłalnia Gazety Świątecznej oraz Księgarnia Krajowa.

Liczba telefonu Redakcji, Wysyłalni i Księgarni 39-70.

Za ogłoszenia od drobnego wiersza lub jego miejsca na stronie ósmej i r., a na str. dalszych po 60 k. Małe ogłoszenia stałych czytelników darmo.

Utwory wykończane w Gazecie Ś., są własnością redakcji, więc tylko za jej przyzwoleniem przedrukowywane być mogą. Rękopismów nie zwraca się.

NOWINY.

† Bolesław Prus.

Bardzo smutną nowiną musimy dziś podzielić się z czytelnikami Gazety. Społeczeństwo nasze poniosło wielką stratę. Umarł jeden z największych naszych pisarzy i najlepszych obywateli kraju, ś. p. Aleksander Głowacki, znany powszechnie pod przybranym imieniem i nazwiskiem Bolesława Prusa, którymi wszystkie swoje prace pisarskie podpisywał. Był to mąż ogromnej zasługi dla społeczeństwa, pisarz znakomity, działacz nieustraszony, a przytém człowiek wielkiego serca i rozumu, wielkiej miłości dla kraju, narodu i wszelkiej niedoli ludzkiej. Niemało zapewne znajdzie się czytelników Gazety, którzy czytali powiastkę p. n. „O ojcowiznę, czyli jak sobie jeden chłop z Niemcami poradził“, streszczoną z dużej a ślicznej powieści Bolesława Prusa, napisanej pod nagłówkiem „Placówka“; wielu też pewnie czytało piękne powiastki tegoż pisarza „Michałko“ i „Antek“. Takich powiastek Bolesław Prus napisał tyle, że na kilka grubych książek ich starczy. A prócz tego utworzył cały szereg większych powieści, z których zwłaszcza jedna, napisana z dziejów starożytnego Egiptu pod nagłówkiem „Faraon“, zyskała sobie licznych czytelników i sławę nietylko w kraju naszym, lecz także i wśród obcych narodów. Ale nietylko pisarzem powieści był Bolesław Prus. Od lat blisko 40-tu niemal co tydzień pisywał on do gazet warszawskich tak zwane „Kroniki tygodniowe“, w których poruszał i omawiał najważniejsze dla narodu naszego sprawy bieżące. A nie pisał nic dla próżnej zabawy czytelników lub własnej sławy czy rozgłosu. Jedynym celem całej jego pracy pisarskiej był użytek i dobro ogółu. Czy to w powieściach, czy w owych „kronikach“ gazeciarskich, starał się zawsze budzić w czytelnikach szlachetne uczucia, poprawiać to, co jest złego, zachęcać do uczciwej a pożytecznej pracy i na lepsze drogi nasz ogół kierować. Pożytek narodu widział przede wszystkim w jak najszerszym rozpo-

wzecznienu nauki i oświaty i w stopniowym polepszeniu doli pojedynczych ludzi i całego ogółu, a zwłaszcza tych, którzy najbardziej tego potrzebują. Nawoływał więc do zakładania i popierania szkół, przykładał się do rozpowszechniania czytelnictwa dobrych książek i gazet, zachęcał wszystkich do działalności obywatelskiej, a zarazem do oszczędnego życia, zwywał do tworzenia spółek i stowarzyszeń, zakładania kas pożyczkowych, kuchni tanich i domów noclegowych dla ludzi ubogich, straży ogniowych ochotniczych, ochronek dla dzieci, zachęcał do wprowadzania ulepszeń w gospodarstwach, do zakładania fabryk i zakładów rzemieślniczych, budził sumienie ogółu, współczucie dla nieszczęśliwych, wyrozumienie dla błędzących, cześć i szacunek dla tych, którzy pracą rąk swoich przykładają się do zamożności i dobra ogółu. Wytykał ludziom wady i ośmieszał je, ale umiał to czynić w taki sposób, że czytelnik nie mógł obruszać się i gniewać, lecz jego rady chętnie brał do serca i często się poprawiał. Bo Prus nie występował nigdy z nienawiścią, nienawiść nie miała przystępu do jego serca. Był to człowiek prawdziwie rozumny, a więc i dobry. Dlatego też jego rady i zachęty nie szły na marne, lecz budziły jednych do poprawy, drugich do pracy i dobrych a dzielnych czynów. I nietylko słowem drukowanym Prus przyczyniał się do dobra ogólnego. Brał czynny udział w wielu sprawach ważnych dla narodu i przyłożył się do stworzenia wielu pożytecznych i potrzebnych urządzeń.

Któż nie ciekaw, jakie było życie takiego człowieka. Ale o niemu niewiele zec można, chyba tylko, że było ciche, skromne, a pełne ciężkiej, nieustraszonej pracy. Ś. p. Aleksander Głowacki urodził się w rodzinie szlacheckiej, w Puławach nad Wisłą, w stronach lubelskich. Pierwsze lata życia spędził w domu, a następnie oddany został do szkół w Lublinie. Po ukończeniu tam nauk średnich w roku 1866, przyjechał do Warszawy i wstąpił do tak zwanego Szkoły Głównej, gdzie kształcił się w naukach matematycznych i przyrodniczych. Odtąd mieszkał już stale w Warszawie, wyjeżdżając z niej tylko na krótko, najczęściej latem na wieś. Pragnąc

przyczynić się do oświecenia i polepszenia doli ciemniejszej i uboższej braci, wszedł jako prosty robotnik do jednej z fabryk warszawskich. Niebawem jednak poznał, że daleko większy pożytek może przynieść ogółowi na innym polu pracy. Zaczął pisać do druku. I odtąd przez lat zgorą 40 nie wypuszczał pióra z ręki i uczył naród, jak powinien żyć i pracować, żeby na lepszą dolę zasłużyć. W ostatnich latach ś. p. Aleksander Głowacki zaczął podupadać na zdrowiu. Rozwijała się ciężka choroba serca, która też ostatecznie w niedzielę 19-go maja dnia jego życia przerwała. Pogrzeb odbył się w Warszawie we środę 22-go maja. Uzasadził go własnym kosztem stowarzyszenie pisarzy polskich, a udział w tej smutnej posłudze wzięły liczne polskie stowarzyszenia, szkoły, zakłady, duchowieństwo i tłumy ludzi, które odprowadziły zwłoki wielkiego pisarza na cmentarz Powązkowski, gdzie je złożono na wieczny spoczynek.

Oprócz Bolesława Prusa, tego wielkiego naszego rodaka, o którego śmierci napisano wyżej, w ostatnich dniach zakończyło życie trzech jeszcze zasłużonych Polaków. Najprzód, we wtorek 14-go maja, zmarł w 66-ym roku życia ś. p. Antoni Donimirski, zasłużony gazeciarski warszawski, redaktor gazety codziennej „Słowa“, a następnie rozstało się z tym światem dwóch sławnych na cały świat uczonych polskości. We czwartek 16-go maja zmarł w Anglii, gdzie w ostatnich latach mieszkał u swej córki, Henryk Struwe; był to filozof czyli uczony badacz istoty całego stworzenia i praw przyrodzonych, które światem kierują; w ciągu długich lat był profesorem w szkole uniwersyteckiej w Warszawie i wykładał tę naukę kształcącej się tam młodzieży; napisał kilka dzieł uczonych, które rozślawiły jego nazwisko po świecie; żył 72 lata. W sobotę 18-go maja zakończył znów życie Edward Sztrasburger, botanik czyli uczony znawca i badacz roślin i ich życia; urodził się, wychował i kształcił w szkołach w Warszawie, ale następnie większą część życia spędził w Niemczech, gdzie był profesorem nauki o roślinach w jednej ze szkół uniwersy-

teckich; badaniami swemi, które ku wiadomości innych uczonych drukiem ogłaszał, przyłożył się wielce do pogłębienia wiedzy przyrodniczej; żył 68 lat.

Nieszczęsne zaślepienie. Do wsi Trawnik i Stróży pod Biskupicami w Lubelskiem powróciło w tych dniach z Parany kilkanaście rodzin, które pojechały tam były w jesieni roku zeszłego. Co ci ludzie wycierpieli w owym obiecany raj i w podróży, to trudno opisać. Na okęcie, jak powiadają, obchodzono się z nimi poprostu jak z psami. Przywieźli z za morza zamiast złota — nęczę; stracili wszystko, co mieli, i teraz ci, którzy byli gospodarzami i mieli własny grunt, muszą chodzić na zarobki, żeby wyżywić rodzinę. Są między nimi i tacy, którzy mieli po kilkanaście morgów ziemi. Może kto myśli, że przykład tych nieszczęśliwych będzie przestroją dla innych, aby nie wierzyli agentom czy oszustom, czyhającym na pieniądze uczciwie przez innych zapracowane. Otóż nie! Ludziska do cna zgłupieli. Nawet pomimo takiego przykładu jadą precz na zatracenie. Powiadają, że tym, którzy powrócili z Parany, niemożna wierzyć, bo są przekupieni i dlatego kłamią. A któż ich przekupił? Ludzie, zastanówcie się, co mówicie! — A to — powiadają — rząd brazyjski widzi, że za dużo obcych do Brazylii się cisnie, więc chce ich odstraszyć i dlatego zapłacił tym wychodcom po 300 rubli każdemu, żeby wrócili do kraju i rozsiewali pomiędzy swoimi wieśmi o nęczę w Paranie. — O, ciemi ludzie, kiedyż się upamiętacie! Przyjdzie upamiętanie, ale będzie już za późno; zostaną tylko łyzy i żal za zmarnowaną ojcowizną!

Stefan Szcz.

Jak się zapowiadają urodzaje. Wiosna w tym roku była w naszym kraju naogół niezbyt pomyślna dla rolników. Pierwsza połowa kwietnia była chłodna i w tym czasie padały nieduże deszcze lub śnieg. Druga połowa kwietnia i początek maja były suche i mroźne; w niektórych okolicach były w tym czasie takie wiatry, że przewracały nawet budynki. Mrozy w kwietniu dochodziły górieniegdzie do 6 stopni podług cieplomierza Reomiura; nawet jeszcze w maju były przymrozki, a 9-go maja w niektórych okolicach mróz dochodził do 3 stopni. Mrozy i wiatry wysuszyły bardzo ziemię, co było szkodliwe dla roślin. Z wiadomości zgromadzonych przez główne u nas Towarzystwo rolnicze widać, że oziminy na początku kwietnia przedstawiały się naogół nieźle; później wszakże stan ich pogorszył się tak, że około 10 maja w wielu okolicach, szczególnie na ziemiach suchych i źle uprawnych, były niezadowolające. Na 99 miejscowości, z których nadesłano sprawozdania, żyto tylko w 8-miu miejscowościach było około 10 maja dobre; średnio przedstawiało się żyto w 39-ciu miejscowościach, miernie — w 38-miu, źle w — 11-tu, a bardzo źle — w 2-ch. Naogół żyto ucierpiało najwięcej od mrozów i wiatrów. Nie rozkrzewiło się ono należycie, jest w wielu okolicach rzadkie i niewyrośnięte. W powiecie rypińskim w Płockim i sieradzkim w Kaliskim musieli niektórzy gospodarze; zwłaszcza mniejsi, zaorać liche żyto ozime i zasiać jarzynę. Zaorane też być musi liche żyto w niektórych gospodarstwach w powiatach radomskim, łiskim, psońskim, konińskim i łęczyckim. Pszenica znacznie polepszyła się w tym czasie, kiedy pisano sprawozdania, to jest około 10 maja. Z 32 miejscowości doniesiono, że wzrost jej jest tam dobry, w 49 miejscowościach — średni, w 11 — mier-

ny, w 2 miejscowościach — zły. W niektórych gospodarstwach w powiecie rypińskim lichą pszenicę zaorano. Co do konicyny, to w jednej miejscowości była bardzo dobra, w 15 — dobra, w 32 — średnia, w 28 — mierna, w 18 — zła. Lichą konicynę zaorano tu i ówdzie w powiatach błońskim, łęczyckim, ciechanowskim, tureckim, słupckim i władysławowskim. Rzepak również przedstawiał się około 10 maja naogół niepomyślnie, gdyż zaszkodziły mu zimą mrozy, a na wiosnę przymrozki. Tylko z jednej miejscowości doniesiono, że wzrost rzepaku jest bardzo dobry, w 4 miejscowościach — dobry, w 24 — średni, w 14 — mierny, w 10 — zły. Zaorano lichy rzepak w niektórych gospodarstwach w powiatach pińczowskim, sandomierskim, białskim i rypińskim. Roboty polne i siew jarzyn rozpoczęły się wcześniej niż zwykle, bo w drugiej połowie marca. Ale w pierwszej połowie kwietnia powstrzymał siewy deszcz i mrozy; z powodu przymrozków siewy trwały długo, naogół jednak dokonane zostały pomyślnie. Tylko zimno i susza nie sprzyjały wschodowi jarzyn; zboża jare wschodziły pomału i nierówno. W wielu miejscowościach jarzyny weszły do 10 maja pomyślnie, ale zimno i susza powstrzymywały ich wzrost. Buraki wcześniej sadzone zaczęły około 10-go maja wschodzić, ale także pomału i nierówno. Brak robotników w czasie robót wiosennych odczuwać się dawał po dworach tylko w powiatach jędrzejewskim i olkuskim, w stronach kieleckich.

Kółka rolnicze w Częstochowskim. Rolnicy nasi coraz bardziej odczuwają potrzebę łączenia się i wzajemnego pomagania sobie w pracy, to też i kółka rolnicze coraz więcej zdobywają sobie zwolenników, a liczba ich szybko wzrasta. Jako najlepszy przykład niech posłużą okręg częstochowski, w którym jest obecnie 20 kółek rolniczych. Wszystkie one doskonale rozwijają się i przynoszą niemały pożytek w gospodarce wiejskiej. Gospodarze chętnie garną się do wspólnej pracy. Są tam takie kółka, które mają do 400 członków, chociaż są i mniejsze, liczące po 30 członków. W 16-tu tych kółkach przeprowadzano w roku przeszłym próby z nawozami sztucznymi, w 13-tu kółkach sprowadzano już te nawozy w większej ilości, a w 17 sprowadzano wspólnie nasiona, maszyny i narzędzia rolnicze. Niektóre z kółek mają własne czytelnie, sklepy, kasy pożyczkowo-oszczędnościowe, wspólne masłarnie. Zbiorowe wycieczki, wspólne oględziny gospodarstw i częste pogadanki z dziedzin gospodarki dopełniają wielce pożytecznej działalności tych kółek rolniczych. Postęp więc jest widoczny. Jeszcze trochę i starania, jeszcze kilka lat wytrwałej pracy, a wyniki będą piękne.

Zamiast obchodu. Dnia 8-go maja przypadało 50-lecie kapłaństwa księdza kanonika Dunina-Wolskiego, proboszcza w Raciążu, w stronach płockich. Wielebny ten pasterz, odczuwając w głębi serca smutek i biędną dolę naszego kraju, postanowił nie obchodzić tego jubileuszu. Zwrócił się on do ludzi dobrej woli i ci złożyli na ręce księdza jubilata 200 rubli jako dar jubileuszowy. Ksiądz Dunin-Wolski dołączył do tego jeszcze swoich 800 rubli i cały ten fundusz, w ilości tysiąca rubli, wniósł do Towarzystwa kasy pożyczkowej w Raciążu z zastrzeżeniem, że odsetki od niego mają być wydawane na ochronki dla dzieci w Raciążu. W taki sposób ksiądz Wolski upamiętnił swój jubileusz.

O nawiedzinach biskupich piszą do nas z dwóch parafij w gubernji piotrkowskiej. Oto najpierw obszerniejszy opis z parafji Pajęczna w okolicach Radomska:

Od 1-go maja do okolicy naszej zawitał dostojny gość, Pasterz nasz, ksiądz biskup Zdzitowiecki z Włocławka. Jakiśmy słyszeli z ust proboszcza naszego, księdza Pogorzelskiego w Pajęcznie, Najdostojniejszy ksiądz biskup ma pod swoim zarządem około 400 parafij, blisko 600 kapłanów i zgórą półtora miliona wiernych. Zwiedzał w naszych stronach parafje: Rzaśnie, Działoszyn, Pajęczno i Salmierzyce, bawiąc wszędzie po trzy dni. Tłumi ludzi zgromadzały się przy swych kościołach z kapłanami na czele, witając Pasterza chlebem, solą i sercem. Wioski, przez które przejeżdżał, wystąpiły odświętnie, mianowicie: Zięlecin, Trębaczew, Siedlec, Dworzowice Pakoszowe i Ostrołęka. Ulice zamieciono, wysypano piaskiem i zielenią, domy wybielono i umajono, drogę z obu stron wysadzono świerkami, wystawiono na ulice obrazy i kwiaty, tu i ówdzie przez drogę od drzewa do drzewa poprzewieszano wieńce. A przy każdej chacie starsi i dzieci na klęczkach witali Najdostojniejszego Pasterza. Utrudził się wszędzie ksiądz biskup niemało. Po kilka razy dziennie przemawiał z wielką gorliwością, umacniając ludzi słowem pasterskim w wierze św., ostrzegając przed wrogami Kościoła i św. wiary naszej. Po dwie godziny w każdej parafji egzaminował z pacierza i katechizmu dzieci, które ośmielone łaskawem obejściem bez lęku cisnęły się do niego, że aż bronić go było trzeba od zbytniego natłoku. Potem przemawiał do starszych, zalecając wychowywanie dzieci w wierze i bogobojności, przyczém usilnie zaznaczał, że trzeba je posyłać do szkół na naukę. Zachęcał też gorąco do czytania dobrych książek i sprowadzania gazet, a miło nam było, że naszą kochaną Gazetę Świąteczną także chwalił i zalecał. Wzywał dalej do zakładania spółek sklepowych, kółek rolniczych, kas pożyczkowych i t. p. W każdej parafji tysiączne tłumy przystępowały do sakramentu Bierzmowania. Po wiele razy przy tych przemowach i pracach obfity pot zraszał oblicze Najdostojniejszego Pasterza. Wdzięcznym sercem i ze łzami w oczach żegnały parafje nasze ukochanego księdza biskupa, gdy trzeba było z nim się rozstać.

Parafjanin z Pajęczna.

Z Łobudzie zaś w powiecie łaskim, po wzmiance o przygotowaniach poczynionych na przyjazd biskupa, piszą dalej:

Nie żałujemy ani czasu, ani pracy około przyjęcia Najdostojniejszego Pasterza podjętej. Ślicznie, bo ślicznie było! I oczy miały czém się nasycić, i serce czém się rozweselić. Cały kościół był jak w wieńcu zieleni i kwiatów. Wysłała po księdza biskupa uroczyście procesja z obrazami, światłami i chorągiewkami — chłopcy i dziewczęta z białymi liljami poprzeczali rzędem biskupa, a cztery dziewczynki powitawszy go w krótkich słowach, syptały mu kwiatki pod nogi. W bramie kościelnej urządzony był śliczny obraz z żywych osób, niby trzech aniołów, z których jeden z trąbą przy ustach przedstawiał archaniola, wzywającego wiernych do czujności i modlitwy. Obraz ten był oświetlony ogniem kolorowym. W kościele proboszcz nasz przemawiał do biskupa, jako gospodarz i ojciec parafji. W słowach jego więcej czuć było miłości i pochwały, niż nagany. Po procesji odprowadziliśmy biskupa na plebańję. Na drugi dzień po mszy św. odbyło się bierzmowanie, a po obiedzie Jego Dostojność odjechał, żegnany równie uroczyście, jak był witany.

L. Sob.

Pierwszy piorun. Ze wsi Brzozówki w powiecie sochaczewskim, gubernji warszawskiej, piszą do nas:

Nad okolicą naszą przechodziła w niedzielę 12-go maja w nocy pierwsza w tym roku burza z piorunami. Jeden z nich uderzył w stodołę Kazimierza Oszyka. Spaliła się stodoła i obora, a w niej 5 krów, które warte były po 100 rubli każda. Gdy piorun uderzył, obora była zamknięta na zamek. Gospodarz nie mógł naprędce klucza znaleźć; musiał przez pułap wleźć do obory, aby było poodwiązywać. Tymczasem znaleziono klucze i otworzono mu. Wypuścił dwie krowy i jałówkę, ale musiał uciekać z obory, bo już mu się włosy na głowie zaczęły palić i twarz mu popalała, a kark i ręce ma całe w ranach. Dziękuję Bogu, że choć z duszą zdołał się uratować. Miał właśnie budować sobie dom z piasku i wapna i już mu cieśle drzewo do téj budowy obrabiali. Wszystko to się spaliło, a nadto 5 beczek cementu. Poszło też z dymem siano, słoma, kartofle i narzędzia rolnicze. *F. U.*

Wicher. W okolicy miasteczka Jedlińska w Radomskim wiał około 15-go maja z letniego zachodu gwałtowny wicher, który wyrządził dużo szkód. W majątku Owadowie przewrócił stodołę i śpichlerz i uszkodził dachy na innych budynkach, w sąsiednim zaś majątku Lesiowie przewrócił oborę, która padając osiem krów na śmierć zgniotła. I w majątku Bartodziejach zawałiła się stodoła o trzech klepiskach, niedawno zbudowana. Wicher porwał piasek z wzdym i zasypywał pola i łąki; gałęzie drzew łamał, płoty wywracał, drogi i dachy na budynkach gospodarzom zrywał. *B. J.*

Przygody z psami. Ze wsi Suchodółów pod Piaskami, w gubernji lubelskiej, piszą do nas:

Suchodół jest to wieś niemala, bo ma około 170-ciu osad, ale gospodarze są przeważnie drobnii. Niektórzy z nich mają zwyczaj trzymać psy podwózkowe nie na uwięzi, ale i we dnie, i w nocy spuszczone; aż dziw doprawdy, że nikt jeszcze nie został przez nie żywem pożarty. O mało co już jednak do tego nie doszło. Oto we czwartek 6 maja żona gospodarza Michała Kulisza poszła w pole, aby urządzić dla krowy garść pszenicy. Wtém patrzy — a tu do niej pędzi suka i pies Józefa Garbala, a za nimi cała banda psów. Rozżarte psiska rzuciły się na Kuliszową. Nieboga zaczęła się oganiać sierpem, ale nic to nie pomogło, psy przewróciły ją i poczęły szarpać ze wszystkich stron. Odzież podarły na nią w drobne kawałki, a co gorsza, pogryzły jej ręce, nogi i cały bok. Kto wie, czy by ją żywą zostawiły, ale nadjechał sąsiad, na szczęście z widłami, bo się był wybrał w pole. Odpędził więc nimi zażarte psiska. Kobięte natychmiast zawieziono do felczera, ale felczer pomocy odmówił dlatego, że pomiędzy psami mógł być wściekły. Kazał tedy odwieźć pogryzioną do Lublina, do szpitala. Ale co pocnie biedak mąż, kiedy grosza przy duszy nie ma? Zeszedł pół wsi, aby pożyczyć kilka złotych, ale nikt się nad biedakiem nie lituje. Poszedł z płaczem i do właściciela owój suki, aby go poratował, lub pożyczył mu parę złotych. Może kto myśli, że się tam nad nim zlitowano? Jeszcze nasłuchał się szyderstw, że widać nie ma chleba, kiedy żonę na paszę wyprawia. Ale Pan Bóg go pocieszy. Lekarz w szpitalu zaopiekował się pogryzioną i nieboga powraca do zdrowia. — W parę dni potem ta sama banda psów napadła na człowieka idącego z grabiami w pole. Szczęściem zdołał się ope-

dzić, ale aż grabie sobie połamał. Natychmiast zawiadomił o tém sołtysa i strażników. Poszli do owego gospodarza ze świadkami i pytają, dlaczego nie trzymasz psów na uwięzi. Ale on zaparł się, że suka nie jest jego, bo ją odpędził i jeść jej nie daje. W parę dni później jednak przywołał sukę do domu, żeby ją złapać i zabić. Ale czém? Nie ma strzelby. Daje tedy sukę służącemu i wnukowi, aby ją prowadzili, a syna wyprawia w nim do wiatraka z prośbą do młynarza, żeby ją zastzelił. Ale młynarz nie chciał mieć z nimi do czynienia. Syn wrócił zawstydzony do domu, służący zaś 16-letni i wnuk 11-letni umyślili podstawić sukę pod śmigę wiatraka, żeby ją zabiła. Wnuk podsunął się bliżej śmig, ale chcąc sukę przytrzymać, sam nachylił się, a tu śmiga palnęła go w głowę tak, że aż mu czaszka pękła. Towarzysz jego z przerażenia zdrętwiał i stał jak martwy. Nadbiegli sąsiedzi, którzy zdaleka widzieli, co się stało. Zaczęli nacierać chłopca octem i oblewać wodą, aż przywrócili do życia. Przywieziono z miasta lekarza; pokazało się jednak, że mała jest nadzieja, żeby biedak mógł żyć. Przywieziono też księdza z Panem Bogiem, ale chłopak nie mógł mówić. Żyje jeszcze, lecz w wielkich boleściach, i połową ciała nie włada. Oto, do czego doprowadziło rozpowszechnione w téj wsi puszczanie złych psów samopas. *Wal. Grz.*

Wykłady dla gospodarzy rolnych będą się odbywały w Częstochowie od dnia 16-go do 22-go czerwca. Prócz wykładów codziennych, które obejmą rolnictwo, hodowlę i leczenie zwierząt, i t. d., odbędą się trzy wycieczki do gospodarstw rolnych, wycieczka do zakładów przemysłowych, nadto uczestnicy wykładów zwiedzą miasto i zapoznają się ze sposobem krycia dachów słomą z gliną. Opłata wynosi 1 rubla na koszt wycieczek koleją do gospodarstw wzorowych.

Wykłady pszczelarskie. Lubelski wydział kółek rolniczych urządził w Lublinie w dniu 3-im i 4-ym czerwca dwudniowe wykłady dla właścicieli pasiek i osób zajmujących się pszczelnictwem. Prowadzić będzie wykłady pszczelarz Nowiński z Warszawy. Oprócz uli najnowszych pomysłów, pokazywane będą przyzady i narzędzia pszczelarskie. Uczestnicy wykładów będą mieli nocleg bezpłatny w gmachu poddominikańskim. Po wykładach słuchacze będą mogli zwiedzić w Lublinie w dniach od 5-go do 9-go czerwca wystawę żywiny, na której, jak słychać, będzie dużo do oglądania.

Wystawa koni włościańskich. W sobotę 8-go czerwca odbędzie się w Lublinie na placu wojskowym za rogatką warszawską wystawa koni włościańskich. Przyjmowane będą bezpłatnie i bez uprzedniego oznajmienia konie i klacze różnego wieku. Przyprować je należy do godziny 9-ój rano, gdyż znawcy zaraz przystąpią do oceny i przyznania nagród, które w tymże dniu będą wyplacone. Gospodarze z okolic Lublina powinni skorzystać ze sposobności i przyprowadzić konie na wystawę. Na nagrody przeznaczono w tym roku znacznie więcej pieniędzy, niż lat poprzednich.

Jeszcze dopłacić. Ciekawe i zabawne zdanie opisuje gazeta „Przewodnik dla urzędników” wychodząca w Petersburgu. W jednym z urzędów wojskowych na Syberji spostrzeżono niedawno w książkach rachunkowych, że niejakiemu Kubiakowi, który służył w wojsku na dalekim wschodzie podczas wojny rosyjsko-japońskiej, należy się 55 kopiejek, jako reszta płacy

żołnierskiej. Ponieważ Kubiak mieszka w Królestwie Polskim, więc przysłano mu te pieniądze do gminy, potrącając z nich złotówkę na przekaz pocztowy. Na przekazie było napisane polecenie, żeby wójt wypłacił pozostałe 40 kopiejek dawnemu żołnierzowi Janowi Kubiakowi. Ale wójt żadnego Jana Kubiaka w gminie swojej nie znalazł, więc odesłał pieniądze do naczelnika powiatu, znów potrącając z nich złotówkę na przesyłkę pocztą. Naczelnik nie znalazłszy w całym powiecie Jana Kubiaka, któryby w owym czasie służył w wojsku, wziął z otrzymanych od wójta 25-ciu kopiejek złotówkę na przekaz pocztowy i pozostałe 10 kopiejek odesłał na powrót na Syberję. Aż dopiero tam okazało się, że pieniądze należały się nie Janowi, lecz Józefowi Kubiakowi. Naczelnik wojskowy kupił więc znowu przekaz pocztowy, ale już za własną złotówkę, i posłał owe 10 kopiejek do wójta, polecając wypłacić je Józefowi Kubiakowi i żądając zarazem zwrotu wydanej na przesyłkę złotówki. I oto wójt wezwał do gminy Józefa Kubiaka, wypłacił mu 10 kopiejek, ale jednocześnie ściągnął od niego złotówkę należną naczelnikowi wojskowemu i nadto jeszcze drugą złotówkę na koszt przesyłki pocztą téj należności. Tym sposobem Kubiak z owych 55-ciu należnych mu kopiejek nie tylko nic nie dostał, ale jeszcze dopłacił do nich 40 groszy.

Smutna starość.

(Dokończenie.)

Gutman nie był od tego, żeby się nie popisać swém mędrkowaniem, więc tak zaczął:

— Cóż z tego, że wyście chrześcijanie, ale czy wy dobrze znacie swój zakon, czy wy uczycie go swoich dzieci zawczasu? Młode ich lata schodzą nie w szkole, ale w polu z bydłem, a potem najczęściej w karczmie. Takich tazeźwych ludzi, jak wy, panie Marku, jest niewielu, a i wy swoich chłopców niebarczo czego uczyliście.

— Prawda, prawda, — przerwał Marek, — chociaż mnie to nieraz korciło. Sam nie jestem piśmienny, ale z sumieniem własnem liczyłem się nie najgorzej i nie byłem złym ojcem.

— Posłuchajcie, gospodarzu, — odparł Gutman, — żeby miłować własne dzieci nie trzeba na to żadnej mądrości. Krowa, owca dba także o swe potomstwo; mała ptaszyna wygrzewa pisklętą, znosi im robaczki, ziarenka. Ale żeby szanować ojca i matkę, tego nie rozumie żadne bezduszne stworzenie, a i człowiek, żeby zrozumiał, trzeba było na to Boskiego przykazania. Tylko ten, kto dobrze rozumie to przykazanie, wie, jak ma je spełniać. Żona, przyjaciel mogą oszukać, zdradzić. Ale ojciec i matka umieją dzieciom sto razy przebaczyć i za złe oddać dobrém. Użalaj się nawet nad najgorszym dzieckiem.

— O, tak, tak, prawda! — żwawo odezwał się Marek. — Ot, i ja ustąpiłem synowi dla miłego spokoju. Gorzko mi tam było, ale nie złorzeczę im, nie chowam w sercu zawiści.

Gutman rozochocony mówił dalej:

— U was siła przedewszystkiém, zdrowe nogi, ręce, to grunt. A głowa niech drzemie sobie spokojnie. Wy musicie i możecie ciężko pracować od najmłodszych lat do późnego wieku, dlatego też nie lubicie starych, słabych, pogardzacie nimi, obawiając się, żeby nie byli wam ciężarem. Nasze ręce bez porównania mniej pracują, to prawda; ale żeby, broń Boże, obie ręce opadły mi bezwładnie, to choćby



Aleksander Głowacki (Bolesław Prus),
znakomity pisarz polski, zmarły w Warszawie dnia 19-go maja.
(Przeczytaj o nim na początku dzisiejszej Gazety.)

mi źle z tém było, jeszcze dzieci moje i ja nie będziemy bez chleba, dopóki głowa będzie się zdrowo trzymała na karku. Otóż ona uczy nas, że starszą głowę, co długo myślała, pracowała, młodszemu trzeba szanować i słuchać jęj. Kto przeszedł duży kawał drogi, wie dobrze, gdzie są przepaście i manowce; po cóż więc młodym iść naoslep, kiedy są starzy przewodnicy. Oni umieją im dobrze we wszystkim poradzić, więc też młodzi szanują u nas starych, bo szanują ich mądrość i doświadczenie. A u was co? Wybaczcie mi, co powiem: u was nawet najstarszy człowiek niedużo ma wiedzy w głowie. Idziecie wszyscy przez życie naoslep, nie przymierzając tak, jak poruszają się nasze nogi, które nie wiedzą tego, gdzie lepsza, a gdzie gorsza droga.

— Prawda, panie Gutmanie, — rzekł na to jeden z obecnych, — że głowy wasze coś warte. Ale znowu dać się rozpróżniaczyć ręką, jak to u was we zwyczaju, to także niedobrze. Spuszczacie się tylko na innych, żeby za was rękami pracowali, to chyba nie jest dobrze. Otóż ja tak myślę, że gdyby do naszych krzepaków, pracowitych rąk dodać bystrzejszą głowę, trochę więcej statku, to w każdej naszej chacie byłoby wtedy raj.

— Dobrzeście powiedzieli, — rzekł Gutman, — mielibyście wtedy raj na ziemi. Ale do tego jeszcze bardzo daleko. Trzeba się na to długo uczyć. To nie to, co bezmyślnie machać toporem.

— A cóżby wtenczas biedne żydki robiły, gdyby każdy wieśniak miał dużo rozum w głowie? — odezwał się na to jeden z trzacy; — kogoby też oni wtedy oszukiwali? Ktoby za nich pracował rękami?

Gutman zaśmiał się złośliwie na tę przymówkę i pomyślał sobie, że nietrzeba tym ludziom otwierać oczu; niech sobie jak najdłużej będą ciemni. Obchodzili się dotychczas bez głowy i było z tém dobrze tym, co ją mieli, to jest żydom, niechby tak i nadal pozostało.

Pierwsza noc na nowój siedzibie przeszła Markowi bardzo markotnie. Przeszekał ją, przemodlił się do białego dnia. Potém, przy pomocy stróża i jego żony, a najbardziej dzięki zapasikowi grosza zachowanego z lepszych czasów, licha chaczina została odnowiona, drzwi i okna doprowadzono do porządku, pod obok stojącą lipą, rozpościerając szeroko rozłożyste konary, znalazła się pasieka. Wśród nięj stanął krzyż i ławeczka, na której stary przesiadywał długie godziny, wygrzewając się w ciepłych promieniach słońca lub strząc coś pomaleńku. Czasem nieproszo na iza zjawiała się pod powieka, lub odezwała się cicha skarga na sierocą dolę.

Pomału przywykł Marek do samotnej zagrody, czuł się lepiej na siłach; przy pomocy laski łaził po zrębach, obliczał stopy, tarcice i niejedną dobrą radę dał Gutmanowi.

Było więc zajęcie, jaka-taka gospodarka, a przedewszystkiem najmiłszy mu, niczém niezmacony spokój. Miodem, orzechami częstował odwiedzających go wnuków, a nawet proboszczowi, który nawiedził łaskawie leśnego samotnika, ofiarował do kościoła wosk zebrany.

Książd pokrzepił go dobrém słowem i obiecał modlić się za duszę nieszczęsnego Janka.

Tak przeszło niejedno lato; pasieka się pomnożyła, na miód sycony ludzie się schodzili, chwaliłi gospodarke Marka. Ale kiedy śniegi drogi zasypały, zawierucha zagrzebała chatę do połowy, — żywa dusza nie zajrzała do samotnika. Tylko szumiący wiatr niósł żałośnie echa, tylko Burek nie odstępował swego pana, i lizał jego pokurzone ręce, a kudłatym łbem ogrzewał bolące nogi. Od czasu do czasu podnosił do góry czujne uszy, warczał, srożył się. Znać za blisko do zagrody podchodził zwierz drapieźny.

A stary tak wtedy przemawiał do czujnego stworzenia:

— Cicho, cicho, wierny przyjacielu! Niech tam sobie wyją. Niewesołe to odgłosy, ale lepiej słuchać wycia wilków, niż syzczenia niegodziwej baby...

Mógłby tak starzec zamrzeć samotnie w tém oddaleniu, ale Bóg łaskawy ochronił go od tego. Po wielu latach, kiedy przyszła na Marka ostatnia niemoc, zaopiekował się nim dziedzic ze dworu, a córka Marynka i wnuki nie odstępowały go do ostatniej godziny. Pomocy duchownej też mu nie brakło. Na pogrzeb niemal cała wieś wyszła. Proboszcz wymownym słowem stawiał zmarłego za przykład innym i nie szczędził nagany dla niewdzięcznego syna i jego żony.

E. Kor.

KONIEC.

O żelazie.

Plug, którym gospodarz zaorał ziemię; sagan, w którym gospodyni ugotowała śniadanie; zawiasy, na których umocowano drzwi chaty, — wszystko to są rzeczy wyrobione z żelaza. Z żelaza mamy też rozmaite narzędzia rzemieślnicze, maszyny, noże, igły, pióra do pisania, gwoździe i mnóstwo, mnóstwo innych rzeczy. Na co jeno spojrzeć, do czego się dotknąć, —

wszystko to albo choć w części jest żelazne, albo żelaznem zrobione narzędziem. I gdyby kto dzisiaj zabrał ludziom z ziemi żelazo, stałaby się nam taka krzywda, jakby nam chleb od ust odjęto!

Gotowego jednak żelaza człowiek w ziemi nie znajduje; znajduje tam tylko tak zwaną rudę żelazną, z której dopiero sam, ciężką pracą, czyste żelazo wydobyć sobie musi.

Ta ruda żelazna jest to kamień ziemisty, barwy brunatnej, rdzawej; jest w nim, oprócz czystego żelaza, glina, krzemionka, woda i ulot, który się nazywa tlen. Ruda wytwarza się z żelaza przy połączeniu się jego z tlenem i wodą, dlatego też ruda żelazna zawiera w sobie rdzę.

Gdy tę rudę żelazną czy to szczególnym jakim trafem, czy też przez uczone poszukiwania inżynierów odkryją w jakiej okolicy, urządzają tam kopalnię. Jeżeli pokłady rudy są niegłęboko w ziemi, tak, że dochodzą do powierzchni gruntu, wtedy rozkopują go, i stopniami, jakby po olbrzymich schodach, kopią rudę na otwartém powietrzu. Takie wydobywanie z ziemi żelaza nazywają robotą na odkrywke. Najczęściej jednak ruda leży głębiej i, aby się do nięj dostać, trzeba kopać studnię, zwaną *szybem*, na parę pięt w głąb ziemi. Od dna takiego szybu rozkopują w głębi ziemi w rozmaite strony długie kurytarze czyli chodniki i obszerne komory, wydobywając z nich mozolnie rudę i wyciągając ją na wierzch. Ludzie trudniący się wydobywaniem rudy z ziemi zowią się górnikami; praca ich jest ciężka i niebezpieczna.

Gdy rolnik orze ziemię, przyświeca mu słońce, przyspiwują skowronki, a choćby i deszcz padał, to przecież i tak pracujący w polu ma świeże powietrze i świat przed sobą otwarty. A górnik zamknięty jakby w olbrzymiej piwnicy, pozbawiony jest widoku świata, musi oddychać duszną wilgocią, i zamiast słońca przyświeca mu tylko w ciemności słabe światelko latarki. Rolnikowi pracującemu w polu nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Górnika lada chwila może przywalić osypująca się ziemia, z pod której niezawsze wydobyć go zdołają.

Gdy górnik ukrytą w głębi ziemi rudę wydobędzie z mozołem na wierzch, przechodzi ona w ręce robotników fabrycznych, którzy ją przetopić muszą w tak zwanym „wielkim piecu”. Jak już wiemy bowiem, ruda wydobyta z ziemi jest mieszaniną żelaza, gliny, krzemionki, tlenu i wody. Trzeba więc wydstać z nięj czyste żelazo, a w tym celu wszystkie te niepotrzebne domieszki usunąć. Ludzie doszli, że uczynić to można przez stapianie w ogniu rudy z węglem i kamieniem wapiennym, albo też innym kamieniem zwanym fluszcypatem. Przez to stapianie tlen znajdujący się w rudzie łączy się ściśle z węglem i tworzy wraz z nim nowy ulot zwany kwasem węglanym, który ulatuje w powietrze; woda wyparowuje; kamień wapienny, stopiwszy się ze znajdującą się w rudzie krzemionką, wytwarza rodzaj szkliwa, zwanego żużlem albo szlaką i wypływa w postaci piany na wierzch; spodem zaś pozostaje czyste roztopione żelazo.

Wielki piec, w którym się ruda przetapia, jest to olbrzymi komin z cegły ogniotrwałej, kilka pięt wysoki. Budują go w ten sposób, że u góry i u dołu jest zwężony, a pośrodku wydęty. Ściany ma podwójne, a pomiędzy niemi przepływa rozgrzane powietrze. Do miejsca, gdzie urządzone jest palenisko, przeprowadzone są rury od wielkiego miecha, poruszanego zapomocą maszyny parowej; otwory tych rur nazywają się *dysze* i przez nie wdmu-

duje się potrzebna ilość ogrzanego powietrza, aby to ognisko rozżarzać. Poniżej dyszy są otwory do wypuszczania z pieca roztopionych żużli, które, jako lżejsze, pływają po roztopionym żelazie, niby olej po wodzie. Wreszcie znajduje się główny otwór do spuszczenia samego żelaza.

Do góry takiego to komina, za pomocą wózków i kolejek podnoszą i dowożą robotnicy rudę, węgiel i kamień wapienny, i wsypują do rozpalonego już przedtem pieca. Mówię przedtem, bo piec taki przed zaczęciem topienia rudy trzeba najpierw mocno rozpalać, co trwa parę miesięcy bezustanku dzień i noc, aż go rozgrzeją do 1 tysiąca i 200 stopni gorąca. A gdy już raz piec jest rozpalony i zacząną w nim robotę, to musi ona iść bez żadnej przerwy na dwie zmiany robotników, bo gdyby piec ostygł, to znów musiano by stracić parę miesięcy na jego rozpalenie. Dopiero, gdy piec trzeba naprawić, przerywają robotę i przestają w nim palić. Mówią wtedy, że piec się zamraża.

Ogień więc w takim piecu płonie bezustanku, i żelazo wciąż się wytapia; góra komina ulatują rozmaite uloty, a robotnicy dzień i noc podnoszą do góry i sypią w piec to kamień, to węgiel, to rudę. Roztopione krzemiany wypuszczają z pieca kilka razy dziennie; zastygłszy tworzą one rodzaj szklawa zielonawo-czarnego; jest to właśnie owa szlaka, o której już była mowa. Szlaka ta zmielona jest doskonałym nawozem na rolę, znanym pod nazwą żużli Tomasa.

Samo żelazo wypuszczają zwykle z pieca dwa razy na dobę i to się nazywa spustem.

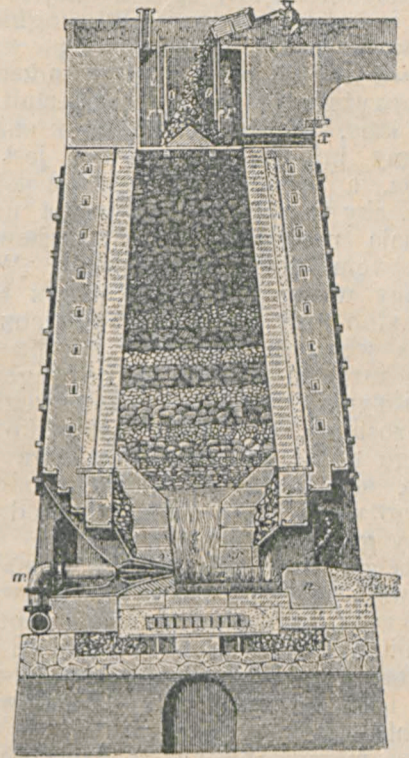
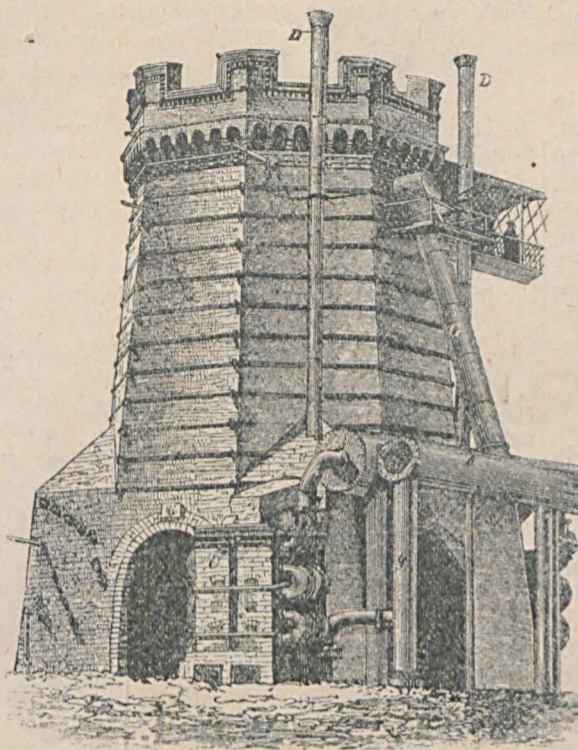
Gdy nadchodzi pora spustu, robotnik czuwający przy piecu przebija żelaznym drągiem zalepiony gliną otwór — i jak ognista wstęga zaczyna płynąć roztopione do białości żelazo. Jest to ciekawy i piękny widok, piękny szczególnie wśród ciemnej nocy! Robotnicy podstawią pod roztopiony płyn gliniane misy, lub spuszcza go na ziemię, w rowki z wilgotnego piasku porobione w otaczającej piec szopie.

Żelazo takie nazywa się surowcem. I oto jest pierwsza robota, pierwszy gatunek żelaza.

Gdy z surowca chcą zrobić rzeczy lane, wtedy odwożą go do odlewni. Ale surowiec zawiera w sobie dużo jeszcze węgla, który trzeba usunąć, więc przetapiają go po raz drugi. Dopiero tak oczyszczony surowiec nabierają w tygle i leją w formy w piasku wyrobione.

Najpierw jednak stolarz musi zrobić drewniany wzór, ot, kółko naprzykład. Następnie potrzebne tu są dwie płaskie skrzynki, większe trochę od wzoru; muszą one być zupełnie równe, to jest muszą pasować do siebie. Odlewnik (którego niepotrzebnie nazywają u nas zniemiecka giserem) napęlnia obie skrzynki mokrym piaskiem i w jedną z nich wkłada drewniany wzór, ale tylko do połowy. Na to nakłada drugą skrzynkę z piaskiem, szczelnie ją dopasowując, i zesrubowuje obie. Wtedy druga połowa wzoru odciska się w wierzchniej skrzynce. Teraz skrzynki rozkładają, wyjmują wzór drewniany, dopasowują je ostrożnie na nowo i znów zesrubowują. Tym sposobem w mokrym piasku, który wypełnia skrzynki, powstaje puste miejsce, które ma kształt odcisniętego wzoru.

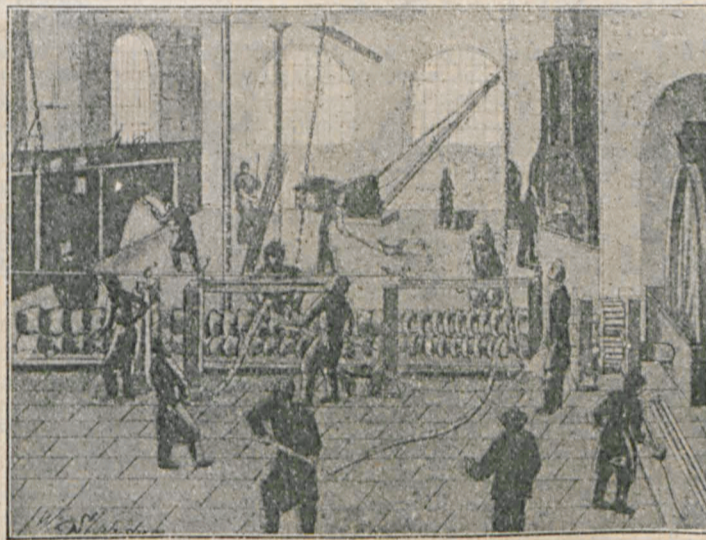
Przez otwór znajdujący się w skrzynce



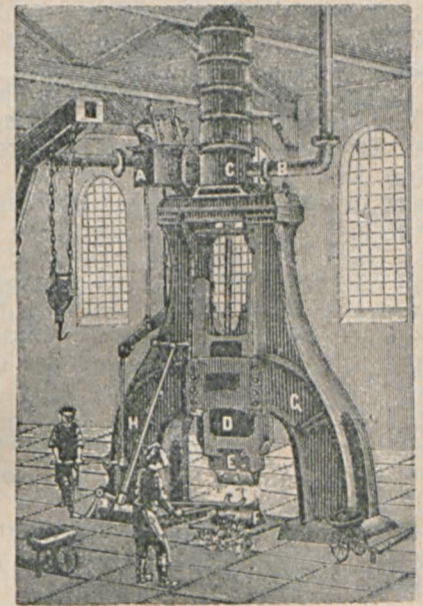
Wielki piec do wytapiania żelaza z rudy.

Zdaleka piec taki wygląda jak potężna wieża, 8 lub 10 sążni wysoka. Na pierwszym obrazku z prawej strony u góry widać kawałek chodnika, którym robotnicy dowożą wózkami do pieca rudę, węgiel i inne rzeczy. — Na obrazku drugim, z prawej strony, pokazane jest wnętrze tego pieca. U dołu jest palenisko, w które przez rurę z lewej strony wdmuchuje się powietrze przy pomocy wielkich miedzi parowych. Otwór z prawej strony służy do wylewania roztopionego,

płynnego żelaza. Podczas wytapiania rudy otwór ten zalepiają mocno gliną. Z góry sypią do pieca rudę, węgiel drzewny i kamień wapienny. Żelazo wytopione z rudy zbiera się w dolnej, zwężonej części pieca. Robota idzie bez żadnej przerwy, więc nad piecem unoszą się niustannie kłęby dymu i sypią się iskry, co w nocy bardzo ładnie wygląda. Podobny, choć nie równie potężniejszy widok, przedstawiają dymiące wulkany.



Walcownia żelaza, w której rozgrzane kawały żelaza walcują się na długie a wąskie staby.



Wielki młot parowy w hucie czyli fabryce żelaznej. Młotem takim, który ma straszną siłę, kują żelazo podług potrzeby.

odlewnik wlewa roztopione żelazo; wypełnia ono puste miejsce i tym sposobem w środku skrzynki odlewa się potrzebny przedmiot: koło jakiegoś trybu, kratka, albo i figurka ludzka lub zwierzęca. Odlewy te po ostygnięciu i wyjęciu z formy czyszczą i polerują, żeby były gładkie.

Surowiec, z którego chcą zrobić żelazo sztabowe, roztopiają w połowie jeszcze na gęstą masę w osobnych do tego piecach (zwanych pudlingami), gdzie wypala się z żelaza reszta zawartego w nim węgla. Przez to żelazo robi się spojiste, zdatne do kucia. Potem rozpalone bryły niosą w żelaznych szczypcach pod wielki młot parowy, który je przekuwa, a potem, raz jeszcze rozgrzane, niosą do walców.

Walce owe są to długie żelazne wały

z wyżłobionymi dokoła rowkami; para walców złożonych z sobą obraca się tak, że jeden walec kręci się w jedną stronę, a drugi odwrotnie. Robotnicy, zwani walcownikami, wsuwają w rowki pomiędzy walce grube kawały żelaza, które zgniatają się w walcach na coraz cieńsze i dłuższe. Wreszcie gruby kawał żelaza wychodzi z walców jako ognista wstęga kilkanaście łokci długa, a parę cali gruba. Składają ją kilka razy, jak wielką taśmę, przyklepują młotami i odzucają na bok, żeby ostygła. Takie sztabowe czyli kowalne żelazo używane jest do wyrobów kowalskich.

Najwyższy gatunek żelaza to stal. Aby ją otrzymać, układają sztabe żelazne przesypane sproszkowanym węglem drzewnym

w skrzynki z gliny ogniotrwałej i w piecach płomienistych, w wielkim ogniu, rozgrzewają je do tygodnia, a po wyjęciu z pieca hartują przez nagłe ostudzenie.

Najwyższy jednak gatunek stali — to stal lana, wyrobiona wprost z surowca. Wiemy już, że w surowcu jest dużo węgla, a w stali tyle go nie potrzeba. Otóż, aby tę zbytnią ilość węgla usunąć, stapiają surowiec ze starą żarzewialem żelastwem, albo nawet i z rudą. Węgiel, będący w surowcu, łączy się z tlenem rdzy albo rudy i ulatuje w powietrze jako kwas węglany. Jeżeli w tak przetopionym surowcu zostanie trochę węgla, wtedy otrzymuje się stal; jeżeli węgla nie zostanie, to będzie żelazo kowalne. Z tego widać, że surowiec zawiera węgla dużo, stal troszkę, a żelazo kowalne nie ma go wcale, albo taką tylko odrobinę, jakby go zupełnie nie było.

Dla zahartowania wyrobów ze stali rozgrzewają je dotąd, aż nabiorą barwy niebieskawej, a potem zanurzają raptownie w zimnej wodzie, lub w zimnym oleju. Ze stali wyrabiane są najdelikatniejsze rzeczy: igły, nożycki, pilniki, stalówki do pisania, sprężyny do zegarków i t. d.

Oto mamy opisaną w krótkości całą przeróbkę żelaza, poczynając od wydobycia go z ziemi w postaci gliniastej bryły, aż do wyrobienia pięknej, błyszczącej stali. Żelazo jednak jest to dopiero robivo, z którego kowale i ślusarze w małych pracowniach lub wielkich fabrykach wyrabiają tysiączne potrzebne nam rzeczy. Czy jednak ujmując w rękę igłę, lub patząc na sprężynę zegarka, myślimy kiedy, ile to pracy rąk ludzkich trzeba było, aby wyrobić te niby małe drobiazgi, bez których jednak już dzisiaj rady sobie dać nie można? Nie, pewno nie myślimy o tym, a jednak o rzeczach takich myśleć należy, bo to praca ludzkiej myśli i rąk ludzkich.

W bardzo dawnych czasach ten sam kowal, który wyrabiał narzędzia żelazne, sam sobie żelazo z rudy wyprażyć musiał. Rzecz prosta, robił to z początku na zwykłym kominie; dopiero czasem komin taki zaczęto okładać kamieniami, zmieniać, ulepszać, aż wreszcie z biegiem lat powstał z tego wielki piec. Jeden też człowiek nie mógł wyprażyć dużej ilości żelaza, i, wytopiwszy potrzebną tymczasem bryłę, mógł sobie odpocząć. Żelaza więc w czasach dawnych było niewiele i ceniono je na równi ze złotem. Po wynalezieniu dopiero wielkich pieców wyrób żelaza szeroko się rozrósł.

Gdyby nie odkryto w ziemi rudy żelaznej i nie nauczono się wyrabiać z niej żelaza, czyż następne pokolenia ludzkie mogłyby wymyślić telegrafy i maszyny? Zwyczajnego gwoźdźca nie mielibyśmy dziś nawet, zwyczajnej siekiery. A nie mając odpowiednich narzędzi, nie mielibyśmy i dzisiejszego mieszkania, i dzisiejszej odzieży. Tak więc, jak widzimy, jedno odkrycie, jeden wynalazek prowadzi do następnych.

W naszym kraju jest kilkadziesiąt kopalń żelaza. Najważniejsze z nich są w stronach krakowsko-częstochowskich i w Radomskiem. Fabryki żelaza nazywają hutami. Największe huty u nas są w okolicach Sosnowca i Dąbrowy-Górnicy.

A. Z.

Marsz strażacki.

Czołem, strażacy! czołem wam, zuchy!
Ho-ho! jak patzą na nas dziewczuchy,
i dziewczuchy, i mężatki!
Czy to, że jest strażak gładki?
Nie, lecz gotów z życia swego
dla bliźniego

złożyć ofiarę. Niech strażak żyje!
Niech mu cień żaden życia nie kryje!
Niechaj „wiwat!“ mu wołają,
niechaj wszyscy go kochają,
że nie szczędzi trudu swego
dla bliźniego!

Bo któż dzielniejszy jest nad strażaka?
Odnajdźcie w świecie, jak on, junaka!
Cudza nęga tak go boli,
że z swą własną chęcią, woli,
nie żałuje trudu swego
dla bliźniego.

Ani muzyka, ani wesele,
czy jest przy pracy, czy też w kościele,
ani prośba dzieci, żony
nie wstrzyma go od obrony,
nie żałuje trudu swego
dla bliźniego.

Czy to wśród nocy, gdy snem zmożony,
usłyszysz trąbkę, wstaje strwożony,
czy mrok nocy, czy rozutki,
on kieruje tam swe kroki,
bo nie szczędzi trudu swego
dla bliźniego.

Niby na skrzydłach lecają jak ptacy
w stronę pożaru dziełni junacy,
wpadają jak błyskawica,
że się każdy aż zachwyca,
iż nie szczędzą trudu swego
dla bliźniego.

Już po drabinach hen się wspinają,
gdzie ogień grozi, tam się dostają.
Ci leją wody strumienie,
a owi skaczą w płomienie,
bo nie szczędzą trudu swego
dla bliźniego.

Jeden z płomieni niesie dziecinę,
a drugi dźwiga odzież, piezynę.
Wszyscy co sił ratowali,
i ogień całkiem zalali,
bo nie szczędzą trudu swego
dla bliźniego.

Trąbki zagrały: stań do szeregu!
Stoją od bżegu równo do bżegu,
potém dwójki sformowali,
i dodom powędrowali,
nie żałując trudu swego
dla bliźniego.

Lud pozostały ich błogosławi:
Niech im Bóg szczęści, niechaj to sprawi,
by im brakło zdrowia, siły,
by im czas był błogi, miły,
że nie szczędzą trudu swego
dla bliźniego.

Strażak do piekła się nie dostanie,
boby tam czarci dostali lanie,
że ogień tam rozpalili,
strażaka do się zwabili,
co nie szczędził trudu swego
dla bliźniego.

Zagrałby „alarm“, że się tam pali,
aż by się czarci popzelekali.
Myśleliby, że Archanioł,
a onby ich powyganiał,
ogień by im zalał wodą,
z wielką dla szatanów szkodą.

Czołem strażacy! Niech strażak żyje,
niech z niego młodość zawsze aż bije,
niechaj mówią, żeście zuchy,
męża, niewiasty, dziewczuchy,
a nie szczędźcie trudu swego
dla bliźniego!

J. Marny.

GOSPODARSTWO.

Nie marnujmy chwastów.

Proszę o radę, co robić z chwastami wyrwanymi na polach. Zdaje mi się, że szkoda ich rozrzucać, jak to czynią niektórzy moi sąsiedzi.

Czytelnik.

Chwasty w gospodarstwach naszych rodzą się, niestety, bardzo obficie. Dobry gospodarz ma ich na swój roli mniej, niż gospodarz niedbały, leniwy. Ale takich dobrych gospodarzy jest niewiele. Większa część rolników lekceważy sobie chwasty. A i ci, którzy niszczą i wyrwiają na swój roli chwasty, postępują często bardzo niemądrze, bo rozrzucają te chwasty po drogach i po miedzach. Nie rozumieją, że marnują w ten sposób siłę nawozową roli. Tymczasem z chwastów tych może być bardzo dobry

nawóz. Trzeba je tylko składać na kupę, przesypując każdą warstwę ziemią próchniczną. Na takiej kupie chwasty przegnią i zrobi się z nich nawóz przewany „kompost“. Do przesypania warstw można także użyć zamiast ziemi próchnicznej, wapna palonego. Nawet wapno jest lepsze, bo kupa się szybciej „kompostuje“, to jest chwasty szybciej przegniwają. Tylko wierzchnie warstwy nakrywa się ziemią. Wapno jest jeszcze dlatego dobre, że niszczy odrazu siłę kiełkowania nasion chwastów. Kompost też taki wzbogaca odrazu ziemię w wapno. Do posypywania chwastów w kupie kompostowej należy używać wapna palonego, które leżąc na powietrzu samo się zgasiło. Każdą warstwę wapna należy bez zwłoki przykryć ziemią próchniczną lub kompostem jeszcze niedojrzałym. Kompost taki z wapnem jest bardzo dobry szczególnie na ziemię zimną, chociaż już nawet osuszoną, bo taka ziemia potrzebuje więcej wapna, niż ziemia sucha.

A. Sn.

Jak dojść krowy.

Dojenie krow powinno się odbywać zawsze o tej samej porze. Niejeden gospodarz spostrzegł pewnie, że gdy się zbliża chwila udoju, krowy stają się niespokojne, oglądają się poza siebie, jak gdyby oczekiwały przyścia dojarki. Szczególniej stosuje się to do krow mlecznych. W wymieniu ich zgromadza się dużo mléka i jeżeli go w czasie właściwym nie wydojmy, to z tego mogą wyniknąć złe następstwa. Niektóre krowy skutkiem nieregularnego dojenia tracą mléko, a nawet zdarza się, że dostają zapalenia wymienia. Jeżeli krowa cielna jest bardzo mleczna, a przytém dobrze karmiona, to wymię jój czasem przed ocieceniem zanadto się przepelnia i grubieje. W takim razie trzeba krowę wydajać, bo gdy się tego zaniedba, może nastąpić nie tylko zapalenie wymienia, ale i gorączka mleczna, i inne niedomagania, które wywołują zmniejszenie mleczności.

Często zdarza się słyszeć pytanie: ile razy dojść należy? Trzy, czy dwa razy dziennie? Niemożna na to stanowczo odpowiedzieć, zależy to bowiem od dobroci krowy i od jój utrzymania. Tam, gdzie utrzymują dobre krowy i dają paszę obfitą, wydzielanie mléka następuje rychlej, a więc dojść trzeba trzy razy, aby przez zatrzymanie mléka w wymieniu nie spowodować złych następstw. Gdzie pasza uboga, a krowy nieszczególnie, tam wystarczy dojść dwa razy na dzień; częstsze dojenie mogłoby krowę zanadto wycieńczać. Jeżeli krowy mają w lecie dobre ale dalekie pastwisko, z którego trudno przypędzać je do dojenia, to lepiej je raz wydojść na pastwisku, niż pędzić parę razy do dojenia i pozbawiać przez ten czas dobrej paszy.

Należy pilnie baczyć, aby odstępy między jednym dojeniem a drugim były równe.

Wogóle dojenie, sposób w jaki się ono wykonywa, jako też trwanie dojności mają dla gospodarza wielkie znaczenie. Za pomocą dojenia nie tylko otrzymuje się mléko, ale wyrabia się w krowie zdolność do większego wydzielania tego płynu. Lekkie drażnienie wymienia i cycek palcami przyczynia się do większego rozwoju wymienia; a to rzecz bardzo ważna, bo wymię to jak naczynie: im większe, tém więcej mléka w niem się zmieści.

Niejeden przez chciwość radby dojść krowę do dnia ociecenia. Dobra gospodyni nie powinna jednak nigdy przedłużać czasu dojności krowy. Przynajmniej

na sześć tygodni przed ocieieniem trzeba zaprzestać dojenia, chociażby krowa dawała jeszcze 4 albo 5 kwart mleka. Tylko w takim razie, gdy wymię zanadto nabrzmięwa, trzeba nieco zdojść. Mleko od krów będących na ocieieniu nie ma już w sobie tych wszystkich części, które w dobre mleku być powinny; mleko takie wlane do wspólnego naczynia może zepsuć cały udój. Otóż jeżeli zachodzi konieczna potrzeba dojenia krów cielnych, to mleka od nich nienależy mieszać z dobrą mlekiem. Niektóre krowy przestają dojść się znacznie wcześniej, niż na sześć tygodni przed ocieieniem. Takie trzeba dojść, choćby najmnij mleka wydzielaly, a to dlatego, żeby ich nie zapuszczają i nie przyzwyczajają wymienia do próżnowania.

Podczas dojenia trzeba zwracać pilną uwagę, czy na cycach niema jakich ranek lub brodawek. Gdyby się coś takiego okazało, trzeba zaraz na to radzić, żeby się czasem nie potwożyły większe pęknięcia skóry albo ranki, bo wtedy trudno byłoby dojść.

Szczególniejszą opieką otaczać trzeba młode krowy, pierwiastki, spodziewające się pierwszego cielęcia. Należy je zawczasu przyzwyczajając do spokojnego zachowania się podczas dojenia. W tym celu na długo przed ocieieniem trzeba zacząć obmywać kilka razy dziennie wymię i cyce, jak gdyby się krowę dojło. Gdyby cycki były twarde lub popekane, należy je smarować tłuszczem. Po ocieieniu najlepiej smarować wymię siarą.

Bywają krowy tak niespokojne i niecierpliwe, że przeszkadzają dójce i ciągle ją ze stolka spychają. Takich, rozumie się, niepodobna dobrze i dokładnie wydojść. Te same dójki powinny zawsze swoje krowy dojść, bo wymię i cyce przywykają do ręki, która u jednego człowieka bywa ciężka, a u innego lekka.

Dojść należy całą garścią, nie zaś dwoma tylko palcami, jak to najczęściej czynią. Pod koniec dojenia, gdy już mleka mało, można resztę wyciskać dwoma palcami. W czasie dojenia zachowywać się spokojnie, wszelkich gawęd i śpiewów zaniedbać, gdyż przeszkadza to nietylko samemu dojeniu, ale niepokoi krowę i nie usposabia jej do wydzielania mleka. Im prędzej wypróżni się wymię, tém lepiej. Mleko dobrze wydojone powinno się pieścić w skopku.

Ponieważ żyły mleczne u krów idą jedna z tyłu, druga z przodu, należy przeto tak dojść, aby równocześnie obydwie wypróżniać, a więc brać naprzemian cycki jedną przednią, a jedną tylną, na krzyż.

Gdy krowa niespokojna, nie pomoże bić ją, szturchać, lub straszyć krzykiem; wszystko to wstrzymuje tylko wydzielanie mleka. Jeżeli krowa zachowuje się niespokojnie, można położyć jej na krzyż szmatę w zimnej wodzie zmaczaną.

Trzeba starać się zdajać mleko do ostatniej kropli, gdyż pozostawione w wymieniu zmniejsza mleczność. F. G.

Listy do Gazety Świątecznej.

Ze wsi Kuczek pod Radomiem.

Wies nasza leży przy drodze bitój z Lublina do Radomia. Patrzmy więc tu nie raz na rzeczy, których ludzie w innych okolicach nie mają sposobności oglądać. Na początku wiosny na drodze tej aż roji się od młodzieży jadącej do Prus na zarobki. Ojcowie, matki i opiekunowie tej młodzieży, do was się zwracam! Z jakąż my boleścią patrzmy na te wasze dzieci!

Jak się one zachowują już tu, zaraz po wyrwaniu się z pod waszej opieki! Rozbijanie się po drodze, krzyki, nieprzystojne rozmowy... Wielu, zamiast jechać z innymi, odłącza się i idzie piechotą parami, jakby małżeństwa... A którego jeno z tych obżysasów zapytać, zkąd idzie, to każdy odpowiada, że z Lubelskiego. O laboga! A to co za okropność w owym Lubelskiem, że się ludzie ztamtąd tak wynoszą? Bo jak tylko nastąpił marzec, to codziennie pełne wozy drabiniaste toczyły się drogą, a prócz tego wielu szło piechotą, jakby owe gęsi, które hurtownicy zakuują na jesieni. Hurtownicy, którzy naganiają z naszych wsi gęsi, zarabiają na nich, a naganiacze pruscy zarabiają na waszych dzieciach. A przecież dzieci nasze to nie gęsi! Powinniśmy je więcej cenić. Biedna ta młodzież! Żal się Boże! W zeszłym roku wyrwało się i z naszej wsi za przykładem owych wędrowników kilkoro młodych. I cóż? Chłopcy wrócili może gorsi niż byli, ale tacy czy owacy jednak wrócili. Ale dziewczyny trzy wcale nie wróciły, bo nie śmiały ze wstyd, a drugie trzy przysły... ale z dorobkiem. Oto, drodzy rodacy, co zyskuje młodzież w Prusiech. Traci poczciwość, wiarę, cnotę i ściaga na siebie karę Bożą. Nie łakomcie się na te parę rubli, które syn lub córka mogą przynieść od Niemców, bo prędzej przyniosą one do waszych domów wstyd i nieszczęście. Młodzież jedzie do Prus nie dlatego, aby szukać zarobku, ale dlatego, aby tylko wyjść z pod opieki ojcowskiej i macierzyńskiej i żyć swawolnie w hurtach jak bydłeta na pastwisku.

Drodzy społecznicy Gazety Świątecznej! Brońmy się od wychoctwa tak do Prus jak również do Parany, bo w owęj Paranie wielu ludzi potraciło majątki i zdrowie, w Prusiech zaś młodzież nasza traci wiarę, cnotę i niewinność. A z tego wynika hańba i wielka szkoda dla nas wszystkich, dla całego kraju naszego, dla całej ukochanej Polski. E. Giz.

Ze Stobiecka-Miejskiego w gubernji piotrkwskiej.

Panowie pisarze, co w miastach mieszkanie, powietrzem niezdrawem zawsze oddychacie, chcecie może poznać rozkosze wioskowe, jakie my tu mamy w piękne dni majowe? Kiej po pracy człowiek ma kawałek czasu, to chętnie pośpiesza do blizkiego lasu, aby na murawie przy ptaszat śpiewaniu spędzić mile chwilę przy jakim czytaniu. Choć się nieraz człowiek ciężko napracuje, wśród tych przyjemności zmęczenia nie czuje.

A teraz, kiedysmy już wczasu zaznali, użyjmy przechadzki postępując dalej. Oto nas prowadzi gościniec do sioła, dalej szumią niwy bujne dookoła. Pod wioską krzyż stary, co nam domów strzeże, pod nim dziad wędrowny odmawia pacierze, a potém z modlitwą w progę naszym staje, prosząc Boga, żeby strzegł nam urodzaje, a odwracał burze, grzmoty, błyskawice, które nawiedzają inne okolice. Kościółek z modzewia w lipy otulony pięć wieków już przetrwał, więc stoi schyłony. Gdy w wieczór majowy dzwonek woła z wieży, lud wiejski po pracy do kościoła bieży, by litanję śpiewać do Najświętszej Panny, od której pomocy pragniem nieustannę; a Matka Najświętsza z ołtarza swojego spogląda na prośby ludu znękanego. — Pójdźcie do mnie, — mówi, — którzy pracujecie! Tu u mnie pociechę i ulgę znajdziecie. Składajcie swe bóle u stóp Syna mego, który nie odrzuca serca pokornego. On przykrości wasze w radość wam za-

mieni, krzyże, co dźwigacie, lżejszemi uczyni. Fr. Zbroja.

Nowinki telegraficzne.

Z Petersburga. D. 20. Pod miastem Helzyngforssem na brzegu Finlandji stoi gromada okrętów wojennych rossyjskich, a między niemi trzy wielkie pancerniki: „Cesarzewicz“, „Sława“ i „Ruryk“. W tych dniach na okręty te przybyli z Petersburga żandarmi i aresztowali 21 żołnierzy, mianowicie 14-tu z „Ruryka“ i 7-miu z „Cesarzewicza“. Jednocześnie na okrętach wojennych stojących w przystani pod miastem Kronsztatem, naprzeciwko Petersburga, aresztowano 12-tu żołnierzy, a dwóch z nich na krążowniku „Rossji“, na którym mieszka ze swym sztabem dowódca tych okrętów, podadmiral Essen. Aresztowanych żołnierzy przewieziono do Petersburga i zamknięto w więzieniu. Są oni okarżeni o znoszenie się ze stowarzyszeniami przewrotowców rossyjskich i przechowywanie druków przewrotowych.

Sprawa Chełmszczyzny. Petersburg, d. 20. Rada państwowa obrała już komisję, złożoną z 15-tu posłów, do szczegółowego rozważenia uchwalonego już przez Sejm w Petersburgu pomysłu prawa o utworzeniu nowej gubernji Chełmskiej i odłączeniu jej od Królestwa Polskiego. Do komisji obrano 13-tu Rossjan i dwóch Polaków: Szebekę i Chrzanowskiego.

Z Prus i Niemiec. Berlin, d. 22. Sejm pruski uchwalił wczoraj, we wtorek, nową ustawę co do wzmocnienia niemieckiej na ziemiach polskich i duńskich, znajdujących się pod panowaniem Prus. Podług tej ustawy rząd pruski będzie miał do rozporządzenia około 47 milionów rubli na wykupywanie z rąk Polaków i Duńczyków ziemi i rozprzedawanie jej Niemcom.

Wojna Włochów z Turkami.

Konstantynopol, d. 22. Pokazuje się teraz, że Turcy ociągali się z otwarciem cieśniny Dardanelskiej dla przepływu okrętów dlatego, że chcieli przedtem naprawić forty zniszczone przez Włochów, a brońące wejścia do tej cieśniny z morza Greckiego. Robotą około tych fortów ukończono w piątek 17-go maja; nazajutrz usunęto z cieśniny pozostałe jeszcze buchadła i zaczęto przepuszczać okręty kupieckie, a najprzód z morza Czarnego. Zgromadziło się ich tyle, że kilka dni potrzeba, aby wszystkie przepłynęły na morze Greckie. Potém przez kilka dni znowu będą przepływały przez Dardanele okręty z morza Greckiego ku Czarnemu.

— Kupcy rossyjscy domagają się za pośrednictwem swego rządu, aby Turcja wynagrodziła im straty poniesione z powodu zamknięcia cieśniny Dardanelskiej dla przepływu okrętów. Gazety tureckie występują ostro przeciwko tym żądaniom i piszą, że inne mocarstwa takich żądań nie stawiają.

Rzym, d. 22. Z wyspy Rodosu, zajętej przez Włochów dnia 4-go maja, nadeszły wiadomości następujące: Umocniwszy się w mieście Rodosie, stolicy wyspy, Włosi postanowili rozprawić się z oddziałem wojska tureckiego, który ustąpił przed nimi w głąb wyspy i przygotował się tam do obrony pod wsią Psitosem. W tym celu Włosi przewieźli okrętem cztery bataljony piechoty z armatami do przystani w Malonie, a jednocześnie drogą lądową wyszedł ze stolicy wyspy do Psitosu drugi oddział wojska. Połączywszy się z sobą, oba te oddziały stanęły w piątek 17-go maja naprzeciwko obozu tureckiego. Zagrały armaty i wszczęła się bitwa. Trwała ona

4 godziny. Turcy bronili się mężnie, ale wkońcu, widząc, że mają przeciwko sobie znaczną przewagę Włochów, wywiesili białą chorągiew na znak, że się poddają. Na żądanie Włochów musieli oni oddać wszystką broń, i tylko oficerom w dowód uznania za ich waleczność Włosi pozostawili szable. Cały ten oddział turecki, w liczbie 2300 ludzi, w czem 38 oficerów, Włosi zabrali do niewoli. Zdobyli zarazem 4 tysiące strzelb, dwie baterje armat i dwie kartaczone, oraz dużą ilość strzeliwa. Według doniesień włoskich zginęło w bitwie tylko 4-ech włoskich żołnierzy i 1 oficer, a 25-ciu żołnierzy zostało ranionych; Turków padło na polu bitwy zabitych i ranionych 200-tu.

— Naczelnik okrętów włoskich na morzu Greckim donosi, że wojsko włoskie zajęło dużą wyspę Kos przy brzegu Azji Mniejszej, na północo-zachodzie od Rodosu. Wyspa ta ma 10 tysięcy mieszkańców. Wojsko tureckie, które było na niej, poddało się Włochom bez bitwy i całe zostało zabrane do niewoli. Jednocześnie Włosi zajęli niedużą wyspę Symi na północy od Rodosu, tuż przy brzegu Azji Mniejszej.

— Na wszystkich wyspach zajętych przez wojsko włoskie na morzu Greckim Włosi zagospodarowują się tak, jakby nie myśleli już ich opuszczać. Wszędzie zaprowadzają swoje urzędy i mianują swoich urzędników. Do Rodosu sprowadzili kolejiny i przystępują do budowy kolejki żelaznej. Mieszkańcy tej wyspy, przeważnie Grecy, cieszą się, że nareszcie po kilku wiekach niewoli skończyło się nad nimi panowanie Turków; mają oni nadzieję, że po ukończeniu wojny włosko-tureckiej otrzymają autonomję czyli zupełny samorząd, bo inne mocarstwa zapewne nie zgodzą się na panowanie Włochów na zdobytych wyspach tureckich.

— Turcy przygotowują się do obrony dużej wyspy Chijosu, leżącej naprzeciwko miasta Smirny. Przewożą tam okrętami ze stałego łądu wojsko i armaty.

Trypolis, (w Afryce), d. 21. W okolicy miasta Tobruku, na wybrzeżu Trypolitańji, włoski oddział wywiadowczy napadł w tych dniach na spotkany oddział Arabów. Wszczęła się potyczka, w której podobno stu Arabów zostało zabitych. Reszta uciekła. W wojsku włoskiem został zabity 1 oficer i 2 żołnierzy i ranionych 3 żołnierzy.

— Wśród wojska tureckiego w Trypolitańji przebywał jeden gazeciarz angielski, aby przysyłać wiadomości o wojnie do swęj gazety. Dnia 14-go maja gazeciarz ów pojechał z tureckim oddziałem wywiadowczym w stronę obozu włoskiego. Wtém spotkano oddział włoski, który napadł na Turków. Gazeciarz poległ od kuli. Żołnierze włoscy wzięli go za oficera tureckiego.

— Włosi rozszerzają pogłoskę, jakoby 105-ciu przywódców arabskich ogłosiło wezwanie do Arabów, aby zaniechali dalszej walki i poddali się pod panowanie Włoch. Czy to prawda, niezadługo się pokaże.

Z Turcji. Konstantynopol, d. 21. Powstanie w Albańji na półwyspie Bałkańskim przeciwko panowaniu tureckiemu wzmaga się coraz bardziej. Albańczycy żądają, aby Turcja dała im autonomję czyli zupełny samorząd. W górach w pobliżu miasta Djakowy zgromadziło się 2 tysiące uzbrojonych powstańców. Turcy trzymają w Albańji 30 tysięcy wojska. Świeżo do Djakowy i Ipeku posłali 2 tysiące piechoty, kompanję kartaczone i 3 baterje armat. Jeśli powstanie rozszerzy się na całą Albańję, nielatwo będzie Turkom je stłumić,

bo wojsko potrzebne im jest teraz do wojowania z Włochami. To też kto wie, czy Albańczycy nie doczekają się teraz po długiej niewoli lepszych dla siebie czasów.

Z Bułgarii. Sofja, d. 22. Na granicy bułgarsko-tureckiej wynikła w tych dniach strzelanina z powodu zabicia żołnierza bułgarskiego przez straż turecką. Strzelanina pomiędzy strażami trwała trzy dni. Podobno zostało zabitych i ranionych kilku Turków i raniony 1 żołnierz bułgarski. Spokój wreszcie przywrócono, ale zajście to wskazuje, jaka jest obecnie nienawiść pomiędzy Bułgarami a Turkami.

Z Maroka w Afryce donoszą, że powstanie przeciwko Francuzom rozszerza się tam coraz bardziej. Marokańczycy nie chcą iść dobrowolnie pod obce panowanie i zbierają wszystkie siły do walki z przemocą. Do powstania przyłączyły się już wszystkie plemiona zamieszkałe w południowej części kraju, a na ich czele stanął Hamed Irba, który nawet ogłosił się sultanem czyli cesarzem Maroka. Dzisiejszego cesarza, Muleja Hafida, powstańcy marokańscy uznali za zdrajcę narodu, zaprzecanego Francuzom. W tych dniach 14 tysięcy Marokańczyków napadło na wojsko francuskie w miejscowości Meradzie i gorąca bitwa trwała dwie godziny. Wkońcu Francuzi odparli powstańców, ale ponieśli duże straty w ludziach.

Z Dańji. (Poszukaj na mapie w Gazecie 1628-ój, gdzie leży królestwo Dańja, w której stronie od nas, i jaki obszar ziemi on zajmuje. Jest ono w Europie, na północy od Niemiec, a zajmuje koniec niedużego półwyspu, wysuniętego niby język z łądu Europy ku Norwegji i Szwecji, a także i wyspy sąsiednie. Na jednej z tych wysp jest stolica Dańji, Kopenhaga. Część Duńczyków na południowej części półwyspu została oderwana przed kilku dziesiątkami lat od królestwa Duńskiego i znajduje się pod panowaniem prusko-niemieckim. Duńczycy — to naród niewielki; składa się z trzech niespełna milionów głów, jest więc siedem razy mniejszy od narodu polskiego. Do królestwa Duńskiego należy jeszcze duża lecz słabo zaludniona wyspa Islandja w Europie i wielka ale prawie pusta, bo śniegiem i lodami wiecznie pokryta, wyspa Grenlandja w Ameryce Północnej.) *Kopenhaga, d. 22.* We wtorek 14 maja umarł król duński, Fryderyk Ósmy. Śmierć zaskoczyła go niespodzianie, a w takich okolicznościach, w jakich zapewne dotąd nie umierał żaden monarcha. Będąc chory na serce, król bawił jakiś czas z rodziną na lekach na południu Europy, a teraz powracał do kraju. W przejeździe przez Niemcy zatrzymał się na kilka dni w mieście Hamburgu, przy ujściu Elby do morza, i zamieszkał tam w gospodzie. We wtorek wieczorem, czując się zupełnie zdrowym, wyszedł na samotną przechadzkę po mieście. Wtém na ulicy zrobiło mu się słabo, usiadł więc na ławce ulicznej; po chwili jednak wstał, ale zaledwie uszedł kilka kroków, zachwiał się i upadł nieprzytomny na ziemię. Był to napad choroby sercowej. Wnet otoczyła go gromada przechodniów, ale nikt ani się domyślał, że króla ma przed sobą. Nadszedł policjant, który stał niedaleko, a widząc chorego i nieprzytomnego człowieka, zabrał go do dorożki i zawiózł do pobliskiego szpitala. Gdy tam przybyli, król już nie żył, więc zwłoki jego złożono w trupiarni. Tymczasem rodzina królewska w gospodzie zaniepokojona, że król długo nie wraca z przechadzki. Wysłano

slużbę na poszukiwania, a gdy na nic się one nie zdały, zawiadomiono o zniknięciu króla policję. Rozpoczęto dochodzenie we wszystkich urzędach policyjnych i nareszcie dowiedziano się o przywiezieniu do szpitala zwłok jakiegoś człowieka, który zmarł na ulicy. Dopiero ktoś ze swity pojechał do szpitala i poznał, że to są zwłoki króla. Sprowadzono je do gospody i wystawiono tam w trumnie. Na trzeci dzień przewieziono zwłoki okrętem do stolicy Dańji i we wtorek 21 maja złożono uroczyste w grobach królewskich.

— Zmarły król duński, Fryderyk VIII, żył 69 lat, a królował zaledwie 6 lat. Objął tron po ojcu, Krystjanie Dziewiątym, który panował w Dańji aż 42 lata. Król Fryderyk był ojcem obecnego króla Norwegji, Hakona, i bratem króla Grecji, Jerzego; jedna z jego sióstr, Aleksandra, jest królową angielską, wdową po królu Edwardzie Siódmym, a matką obecnego króla Anglii, Jerzego; druga zaś siostra, Dagmara, jest Marją Teodorówną, Cesarzową rosyjską, wdową po Cesarzu Aleksandrze Trzecim, a matką Najjaśniejszego Pana Mikołaja Drugiego. Zmarły król duński był żonaty z królowną szwedzką, synowicą teraźniejszego króla Szwecji. Królowanie po nim objął syn najstarszy, 43-letni Krystjan Dziesiąty.

Z Węgier. Budapeszt, d. 20. Straszny wichur w dniu 14-ym maja zniszczył dwie duże wsie na Węgrzech. W jednej zawałiło się 120 domów mieszkalnych i 200 innych budynków, a w drugiej aż 330 domów. W obu tych miejscowościach runęły też kościoły. Cztery osoby zostały zabite, a wiele poranionych. W kilku sąsiednich miejscowościach wichur wyrządził też znaczne szkody.

Z Francji. Paryż, d. 21. W sobotę 18-go maja późnym wieczorem rozbiły się pod Paryżem dwa pociągi kolejowe, które pędząc z dwóch stron przeciwnych wpadły na siebie wskutek zepsucia się zwrotnicy. Trzynastu osób zostało zabitych, a 45 bardzo ciężko poranionych.

Na okręcie Tytaniku, który przed kilku tygodniami rozbił się i zatonał na oceanie Atlantyckim, płynąc do Ameryki, zginęło także kilku naszych rodaków, a między nimi ksiądz Józef Montwił z Wilna. Żył lat 27, a w kapłaństwie dopiero 4 lata. Będąc wikarjuszem w Lipsku w Augustowskiem, w djecezji Sejneńskiej, ochrzcił był w kościele dziecko rodziców, którzy przeszli z prawosławia na wiarę katolicką, ale nie zdołali jeszcze załatwić, co trzeba, w urzędach państwowych. Za to władza rządowa usunęła go od pełnienia obowiązków parafjalnych. Młody kapłan pojechał wtedy do Ameryki i straszna śmierć spotkała go w drodze. Okręty, posłane na poszukiwanie ciała utopionych podróżnych Tytanika, wyłowily z morza i zwłoki księdza Montwiła. Przywieziono je na wieczny spoczynek do Wilna.

TADEUSZA KORZONA

Dola i niedola Jana Sobieskiego.

Wydawnictwo Akademji Umiejętności
w Krakowie.
Tzy duże księgi, cena zniżona 4 i pół rubla.
Skład główny w Księgarni Krajowej
K. Prószyńskiego w Warszawie,
ulica Świętokrzyska, 2.

Na stronicach dodanych, 9 i 10, dzisiejszej Gazety mieszczą się:

Odpowiedzi Redakcji.—Odpowiedzi prawne.—Wspomnienia o zmarłych.—Ogłoszenia.